

„Jestem progiem nie do przekroczenia...”

Brygida Helbig

Enerdownce i inne ludzie, czyli jak nie zostałem bohaterem

Wydawnictwo FORMA, Stowarzyszenie oficyna.

Szczecin Bezrzecze 2011, ss. 86

Brygida Helbig nie wydaje się przy swych różnych zajęciach – przynajmniej na razie – myśleć o karierze profesjonalnej pisarki. Nie pisze „zadanych” z góry sobie powieści, nie komponuje obmyślonych wcześniej i realizowanych przy biurku literackim fabuł, nie zabiega nawet o merytoryczną ciągłość swych narracji, o ich konsekwentną formę, jednolity styl, niespecjalnie interesuje się także recepcją swoich książek. Pisanie stanowi dla niej – jak sędzę po przeczytaniu kilku jej tomów poezji i prozy – ważną działalność w ramach krzątania bytowej, jedną z wielu, zarówno kompensacyjną, konsolacyjną, jak i interwencyjną. Nie odpowiada jej bowiem stan i kształt świata, w którym ewidentnie nie umie znaleźć dla siebie miejsca – przenosząc się do tej pory w życiu z konieczności nie tylko z miasta do miasta, z pracy do pracy, ale i z kraju do kraju. Brygida Helbig przeżyła swoje; wychowywana naprzód w PRL-u, w rodzinie kultywującej swą kresową genealogię, potem uciekinierka do Niemiec, Wschodnich i Zachodnich, gdzie przez jakiś czas znalazła zatrudnienie na slawistyce uniwersyteckiej w Berlinie (nb. notka wydawcy na okładce głosi, że książka skupia się na *groteskowym przedstawieniu losów młodych Enerdownców*, ale to uproszczenie treści i motywacji tomu, w którym NRD-owska retrospekcja jest jednym z wątków), w końcu osiada w Pradze, czemu poświęcony jest zbiór prozatorskich obrazków zgromadzony w ostatniej części książki zatytułowanej „Kolej na Pragę”. Narratorka zamieszczonych w „Enerdowncach...” tekstów, jak zauważyłem, mocno niejednorodnych, niewątpliwa reprezentantka osoby autorki w świecie przedstawionym (choć często Helbig odżegnuje się od takiej identyfikacji, względnie stara się ją maskować), nie potrafi dostosować się do warunków egzystencji w żadnym z kolejnych miejsc pobytu, i to generalnie nie ze swojej winy: obserwowana wokół rzeczywistość w wymiarze społecznym – choć oczywiście zdominowana przez politykę – wszędzie zasługuje na krytykę i pilną naprawę. Domaga się interwencji, na jaką stać narratorkę, i jest to oczywiście interwencja pisarska. W rezultacie wszystko, co Helbig boleśnie dotyka, razi, co w niej „buzuje”, co jej doskwiera, w sobie, i w innych, w tym w owych młodych obywatelach fatalnie zaprojektowanego i zgubnie dla narodu prowadzonego państwa enerdownskiego, niejako ekstrapoluje ona z siebie, poddaje moralnej analizie i pełnych gorczy przemyśleniom, jak też poddaje artystycznemu przetworzeniu.

Jednym z dominujących wątków książki jest rzeczywiście socjoanaliza pozornego sukcesu połączenia NRD i RFN. Prezentując losy kilku młodych wykształconych Niemców, przed którymi otwierały się kariery w życiu publicznym i szansa ułożenia przyzwoitego życia prywatnego w NRD – zakłócone przez przyjęte tu naprzód z entuzjazmem obalenie muru berlińskiego – Helbig na poboczach swej zasadniczej fabularnej opowieści bezpośrednio, niekiedy niejako „z katedry”, zapoznaje nas ze swą wiedzą i refleksjami oraz osobistymi doświadczeniami dotyczącymi społeczeństwa, jakiemu *niemal w ciągu jednej nocy odebrano własny kraj*. Potwierdzając tę mocną i może ryzykowną diagnozę, dostarcza narratorka całą gamę przykładów, dowodów, argumentów, nie stroniących od jawnej, ostrej publicystyki – jak w rozdziałiku o „Enerdownskich obsesjach”, w którym czytamy, że nie tylko narratorka ma powody do tego, by się czuć obco w tym kraju, gdyż „obcokrajowcami” czują się w tym „własnym kraju” także byli enerdowncy – wchłonięci przez *obcy kraj*, mający poczucie, że odebrano mu jego specyfikę kulturową, pozbawiani dotychczasowych miejsc pracy, pozostawiani na pastwę losu z nieuznawanymi teraz studiami wyższymi i wszelkimi dawnymi

dokonaniami. *Sekretariaty różnych placówek pełne są zdegradowanych intelektualistów wschodnich z tytułami, upokarzanych na każdym kroku i gromadzących w sobie żółć i złość* – alarmuje narratorka. Jeden z takich intelektualistów, którego dramatyczną biografię ze szczególną empatią w jednym z fabularnych wątków się tu śledzi, Uwe, marzył kiedyś o karierze adwokata, *die Wende* rozwiązała jednak jego te i inne marzenia: od 17 lat jest bezrobotny, *a swoją miłość do prawa realizuje w niezliczonych procesach sądowych, w które sam się pakuje*. Na własnej skórze poznaje narratorka efekty wykoncypowanej przez nowe władze na użytek głównie uczonych imigrantów profesji „docenta prywatnego” na uczelniach enerdowskich, w tym na uniwersytecie berlińskim; to stanowisko, nieodpłatne, utworzone m.in. z myślą o zbyt licznych już na uczelniach niemieckich sławistach (pozamykano te kierunki studiów), wyposaża delikwentów w pozorne „profesorskie zobowiązania”, mając im dać złudną nadzieję, że w przyszłości zostaną być może zatrudnieni na normalnych warunkach, więc że nie powinni czuć się w Niemczech pasożytami. *Instytucja docenta prywatnego jest nowoczesną formą niewolnictwa* – zauważa narratorka.

Berlińskiemu uniwersyteckiemu epizodowi poświęciła Helbig swą poprzednią książkę prozatorską „Anioły i świnie. W Berlinie!”, poddając także krytycznej obserwacji zarówno środowiska polskie w Berlinie, jak i Niemców pojawiających się w ich otoczeniu. Przeżycia i obserwacje bohaterki utworu Giseli Stopy autorka oparła na swoich doświadczeniach i wiadomościach – aczkolwiek nie podkreśla swej tożsamości z wyobrażoną postacią. Osobowość Giseli w swej specyfice i oryginalności ogniskuje wiele charakterystycznych cech i zachowań Polaków na berlińskim bruku wypatrzonych przez autorkę – a książka jest wiarygodnym i sugestywnym zwierciadłem funkcjonowania polskiej zbiorowości polskiej w Berlinie lat 80. i 90. Choć, warto dodać, literacki portret Giseli (podobnie jak sylwetki niektórych bohaterów najnowszej książki) nabiera życia dzięki zaprawionemu dużą dawką autoironii i ciepłego sarkazmu podejściu do tematu narratorki.

W narracjach Brygidy Helbig łączą się z sobą zapiski typowego dziennika intymnego – który ten czy ów mógłby posądzić o nuty ekshibicjonizmu (ja dostrzegam w tym dramatycznie apelujący do czytelnika autentyzm) – z wątkami fabularnymi, anegdotami i niekiedy aforystycznymi miniaturami, z epizodami psychologiczno-obyczajowymi, ale i filipikami publicystycznymi. Jest to twórczość w pewnej mierze autobiograficzna, choć w większej mierze autokreacyjna czy też – posługując się sformułowaniem wybitnego badacza współczesnej podmiotowości Charlesa Taylora (por. „Źródła podmiotowości”, Warszawa 2001) – „autointerpretacyjna”, podejmująca wysiłek określenia własnej tożsamości w coraz bardziej obcym, rozchwianym, niepojętym świecie. Z tą tożsamością narratorka ma podstawowe problemy; jako nieumiejąca zagrześć miejsca, często się tłumaczy ze swego pokręconego życiorysu i kolejnych zawodów: *Być może pałam energią, ale zużywam ją całą na walkę sprzecznych we mnie sił. Jestem zza Buga i jestem znad Renu, bo stamtąd przybyli moi przodkowie po mieczu i kądzieli. Jestem z Berlina, z zachodniej strony Odry. Pośredniczę między tymi, którzy kochają mnie tam, a tymi, którzy kochają mnie tu. Siebie zaś nawzajem nienawidzą. We mnie zogniskowały się różnice mentalne, jestem progiem nie do przekroczenia, nie mieszkającym, a zamieszkanym przez wszystkich miesz(k)añcem*. Coraz dobitniej zaznacza się w treści wynurzeń osobistych autorki refleksja o upływie lat życia (*Zostało mi mniej niż połowę*), tuszowana wciąż przez nadzieję odkrycia wreszcie dla siebie na świecie jakiejś stałej niszy, w której można by się sprawdzić i potwierdzić.

Mieczysław Orski